

# Oreodownik

Cena egzemplarza  
**10**  
groszy

Ilustrowany dziennik narodowy i katolicki

Nr 39 (193 bis - 'L)

— WYDANIE POŚWIĄTECZNE —

Wtorek, dnia 24 sierpnia 1937

## Straszna katastrofa samochodowa pod Wrześnią



Robotnik kolejowy Gmiot, jako pierwszy przystąpił do wydobywania rannych spod szczątków samochodu. — Z prawej ks. prob. dr Marusarz udziela ko- nającym ostatniej pociechy religijnej. (Patrz szczegóły na stronicy 7).

## Polska przegrała mecz z Niemcami

W niedzielę przeszkodził zawodom niezwykle ulewny deszcz

W niedzielę, w drugim dniu między- państwowego spotkania Polska — Niemcy, publiczność wypełniła wszystkie miejsca stadionu Wojska Polskiego.

Niestety zdołano rozegrać zaledwie dwie konkurencje, w toku trzeciej spadł ulewny deszcz, który przerwał zawody. Woda pokryła bieżnię warstwą kilkucen- tymetrową.

Rozpoczęto zawody od biegu na 400 m



Noji nie zawiódł pokładanych nadziei i wygrał 5000 oraz 10 000 m. Na zdjęciu finisz biegu na 10000 m, w którym zwyciężył Polak przed Niemcem Eberhardtem.

przez płotki, w którym startowali Niemcy Hoelling i Grashof oraz Kostrzewski i Gąsowski. Ostatni wszedł na miejsce wyznaczonego pierwotnie Niemca, dzięki swym wspaniałym wynikom, uzyskanym wczoraj.

Od startu prowadził Kostrzewski, ale już po drugim płotku na czoło wyszedł Hoelling przed Kostrzewskim i Grashofem, którego trzyma się Gąsowski. Na ostatnich 50 metrach toczy się zacięta walka, z której zwycięsko wyszli oboj Niemcy: 1) Hoelling w czasie 54,2 sek., 2) Grashof 55,5 sek. Na ostatnich metrach przed metą Gąsowski minął Kostrzewskiego, zajmując trzecie miejsce — 56,2 sek., 4) Kostrzewski 56,7 sek.

W biegu na 1500 m niespodziewanej porażki doznał Kucharski, przegrywając

bieg do biegacza niemieckiego Schaumburga. Ze startu prowadził Kucharski, któremu jednak po 200 metrach prowadzenie odbiera Schaumburg i do końca zachował pierwsze miejsce. Na 300 m wysunął się przed Kucharskiego drugi zawodnik niemiecki Ill, lecz na krótko. Na czwartej pozycji biegł Soldan. Przez pierwsze okrażenie cała czwórka trzyma się blisko. Czas okrażenia 1:02 min.

Na początku drugiego okrażenia Soldan mija Illa i przez chwilę walczy z Kucharskim, zajmując przez następnych dwieście metrów drugą pozycję. Czwarty biegnie Ill. Pod koniec tego okrażenia Kucharski odbiera Soldanowi drugie miejsce.

W trzecim okrażeniu Schaumburg przyspiesza tempa i prowadzi bieg o około 15 m przed Kucharskim i Soldanem. Ill bie-

gnie ostatni. Obaj zawodnicy polscy biegną niemal razem. Dystans, dzielący Schaumburga od Polaków powiększa się nieznacznie, lecz stale.

W czwartym okrażeniu Kucharski odrywa się od Soldana i próbuje dościć Schaumburga. Ten ostatni przyspiesza tempo i wspaniałym długim finiszem przerywa taśmę w czasie 3:53,2. Na kilkanaście metrów przed metą Kucharski zwalnia nieco i kończy bieg na drugiej pozycji w czasie słabym 3:58,5. Trzecie miejsce zajmuje do końca walczący Soldan 4:01,2, 4) Ill 4:04,6.

W dalsi: 1) Long (N) 7,43, 2) Leichum (N) 7,12, 3) M. Hoffmann (P) 7,03, 4) Hanke (P) 6,99.

Wzwyż: 1) Weinkötz (N) 1,80, 2) Geh-

(Ciąg dalszy na stronicy 2)



Warastewiczówna na stadionie w Warszawie ustanawia w imponującym stylu nowy rekord świata na 100 jardów w czasie 10,9 sekund.



Gąsowski był bohaterem meczu Polska — Niemcy. wygrał on kapitalnie bieg na 400 m i zajął z Kucharskim 2 miejsce na 800 metrów.



Drużyny Polski i Niemiec.



# Świat prasy we Włoszech

Prasa w początkach faszystów — Ewolucja ministerstwa propagandy — Wysokość nakładów i opłacalność — Sytuacja prasy zagranicznej we Włoszech — Wspaniałości „pałacu prasy“

(Od własnego korespondenta „Orędownika“)

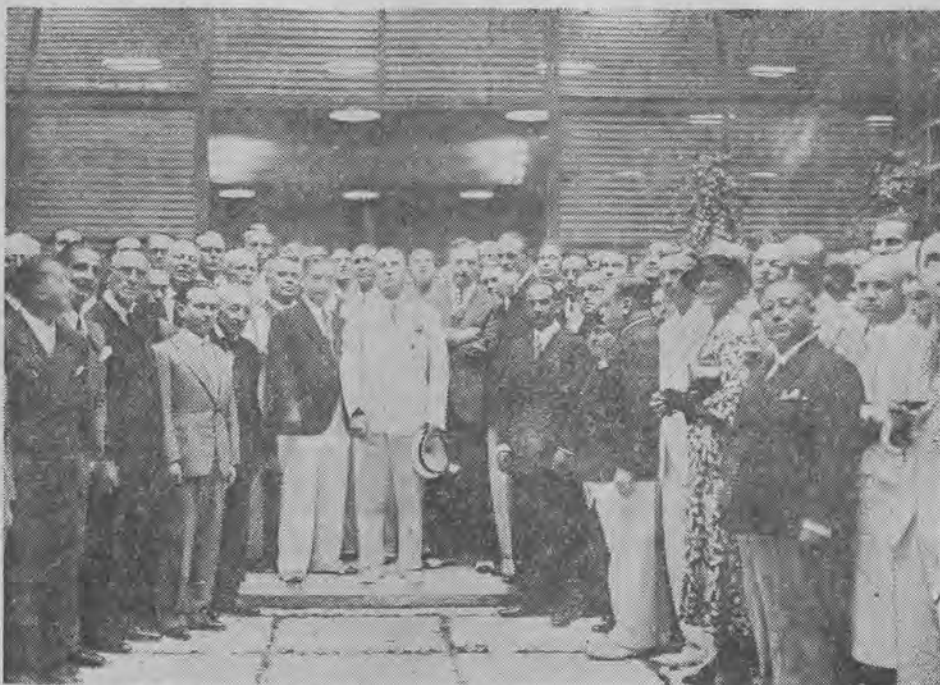
Rzym, w sierpniu.

Znaczenie dziennikarstwa umieli już ocenić cesarze chińscy na długo przed erą chrześcijańską, a potęga jego w czasach najnowszych tak wzrosła, iż zwykło się dziś zaliczać prasę w poczet mocarstw świata. Nie ma dziś państwa, które by nie liczyło się starannie z opinią wielkich dzienników, choć prawdziwym narzędziem sprawowania władzy, aparatem nieodzownym należytego funkcjonowania regimenu stała się prasa dopiero w krajach o autorytatywnych rządach monopartyjnych, w ustrojach tzw. totalnych. Doniosłą rolę spełniają organy prasowe partii już w chwili dokonywania przewrotu, po dojściu zaś do władzy cała prasa w państwie staje się potężną a zmonopolizowaną machiną do kształtowania opinii, podsyłania entuzjazmu i urabiania umysłów w odpowiedniej chwili.

Faszystom zbyt wiele zawdzięczał dziennikarstwo, zwłaszcza pióru swego wodza i jego organowi prasowemu, aby mógł zapomnieć o tych prawdach. Natychmiast też po opanowaniu kraju poświęcono prasie i jej organizacji szczególną uwagę. Już w pierwszych dniach po przewrocie stworzono centralne biuro prasowe przy szefie rządu („Ufficio Stampa del Capo del Governo“), którego zadaniem było nie tylko i nie tyle dostarczanie dziennikom informacji, ile nadawanie całej prasie pożądanego kierunku i koordynowanie jej akcji. Biuro rychło zamieniono w odrębny podsekretariat stanu, a później przekształcono go w ministerstwo prasy i propagandy, koncentrując w nim całokształt zadań związanych ze stroną „reklamową“ faszystów. Ostatnio, przed kilku tygodniami znów nastąpiła zmiana: ministerstwo prasy i propagandy otrzymało nową nazwę — „Ministero della Cultura Popolare“. Treść pozostała jednak bez żadnych zmian.

Podporządkowanie całej prasy kraju jednej centralnej instytucji musiało z natury rzeczy wycisnąć charakterystyczne piętno na obliczu dzienników włoskich. Zapatrywanie gazet w jednako brzmiące komunikaty i udzielanie im codziennych drobnych wskazówek powoduje, że lektura, a nawet samo tylko przejście ważniejszych dzienników staje się nużące i męczące. Najczęściej bowiem nawet wszystkie artykuły wstępne — choć rozmaitych piór, nieraz wybitnych — poświęcone są danego dnia jednemu zagadnieniu, które ministerstwo uznało za najdonioślejsze w owej chwili. Takim sposobem stało się ministerstwo kultury ludowej niejako centralną redakcją, dostarczającą codziennej strawy prasie.

Rzecz inna, że przeciętny czytelnik na ogół zjawiska tego nie dostrzega, gdyż z reguły czyta tylko jeden „swój“ dziennik. Dopiero człowiekowi, który z takich czy innych względów zmuszony jest przeczytać codziennie potężną stertę ważniejszych gazet wło-



Mussolini podczas odwiedzin u rzymskich korespondentów zagranicznych.

skich — rzuca się w oczy ich nużące podobieństwo. Jakże inaczej prezentuje się kolekcja dzienników np. polskich, a zwłaszcza anglosaskich czy francuskich z jednego dnia! Poszczególne organy wprowadza w zupełnie inny świat przekonań i poglądów, krzyżują się ostrza polemik, a każda strona zawiera może nieoczekiwaną niespodziankę.

Dodatnią stroną dzienników włoskich jest natomiast ich spokojna po-

waga i stronięcie od taniej sensacji wszelkiego rodzaju. Prasy brukowej (zwanej tu „zółta“) nie ma we Włoszech zupełnie; morderstwa i wypadki omawia się w kilku wierszach petitem, zaś samobójstw w ogóle nie wolno podawać. Przeważającą część miejsca zajmuje w każdej gazecie tutejszej — polityka. Wielka ilość inspirowanych artykułów politycznych i obywatelskich komunikatów musi się codziennie zmieścić, a objętość gazet

## Z aparatem po szerokim świecie



**MAŁY MACIEK ŁOWI RYBY**  
Mały Maciek, mimo swych 5 lat, jest już zamilowanym rybołowcą. Co niedziela wyjeżdża z tatusem na ryby, wykazując nieladę wprawę.



Gruzy spalonego w listopadzie roku ub. pałacu „Cristal“ zapaliły się w czwartek ponownie. W akcji ratunkowej brało udział kilka oddziałów londyńskiej straży pożarnej.



Warszawa, w sierpniu.

Gdyby Warszawa była istotą żyjącą musiałaby w myśl przepisów — posiadać dowód osobisty. Urzędnik biura ewidencji tak — prawdopodobnie — wypełniłby w dowodzie odpowiednie rubryki: imię — Syrena, nazwisko — Warszawa, lat — 648, a w rubryce „znaki szczególne“ musiałby utrwalić dwa słowa: dorożki konne.

Jakoś nasza stolica nie może się uwolnić od tego dziedzicznego obciążenia choć już najróżniejsi „lekarze“ zabierali się do tej dolegliwości. Ostatnio wydano nową „receptę“, mianowicie, drogą rozporządzenia, właściciele dorożek konnych muszą w okresie od 1 października r.b., do marca przyszłego roku zaopatrzyć swe wehikuły w liczniki. Na razie nie ustalono jeszcze taryfy, ale — ponoć — ma ona być podobna do taryfy taniach taksówkach, czyli 40 gr za kilometr. Rozporządzenie spotkało się z wielkim

sprzeciwem dorożkarzy, uważających je za pewnego rodzaju wyrok śmierci. Bo kto pojedzie dorożką konną, jeżeli za tę samą cenę przewiezie go wygodnie i szybko taksówka! A poza tym założenie liczników może dorożkarzy zrujnować, licznik bowiem kosztuje około 800 zł, sumę astronomiczną dla każdego „mistrza bata“.

W związku z tym stało się coś, czego nie spodziewał się nawet najbardziej optymistycznie nastawiony mieszkaniec stolicy, mianowicie dorożkarze ogłosili... strajk protestacyjny. Niedziela, 15 sierpnia, przejdzie do historii. Tego bowiem dnia od wczesnego ranka, skoro wzeszedł świt, aż do południa nie ukazała się na mieście żadna dorożka! Manifestacja była „wspaniała“, ludzie chodzili wprost oszłoloni, razili ich bowiem idealny porządek na ulicach; nikt nie zakłócał ruchu kołowego, gdzieś podział się stuk kopyt końskich..

Jak narazie, strajk dorożkarzy, choć tylko pół dnia trwający, przyniósł olbrzymie korzyści — mieszkańcom, którzy ludzili się, że los pozwolił im przeżyć od lat wyczekiwana, wielkopomną chwilę ostatecznego usunięcia dorożek z oblicza Warszawy. Niestety!

Ale pozostała jeszcze nadzieja, że dorożkarze nie ograniczą się do jednej manifestacji. Parę takich strajków demonstracyjnych, a będzie można poważnie pomyśleć o sprawach motoryzacyjnych w stolicy.

Pierwsze oddziały policji drogowej, której powołanie do życia zapowiadał swego czasu — już działają. Są wszędzie, na każdej szosie podwarszawskiej, skutecznie walcząc z anarchią na drogach. Mandaty karne syją się niby z rogu obfitości. Tu śpiący woźnica wyciąga z supelka dwa złote, tam rowerzyści — jadący środkiem szosy trzymając się za ręce, placą po złotych. Każdy dzień działalności policji drogowej kończy się bardzo dodatnim bilansem, a suma osiągnięta z kar jest tak poważna, że można mówić o „samowystarczalności“ finansowej tej nowej komórki bezpieczeństwa publicznego.

Groźna „konkurencja“ policji drogowej stał się sąd starościński przed-

tutejszych jest szczególnie mała, najmniejsza bodaj w Europie. Ostatnio, zarządzeniem ministerstwa kultury została ponownie ograniczona do rozmiarów maksymalnych 6 stron dla wszystkich bez wyjątku dzienników, a to ze względu na zauważone zmniejszanie się zapasów celulozy.

Przy bardzo niskiej cenie, podwyższonej od niedawna dopiero z 20 na 30 centesimo od egzemplarza gazety (około 8 gr.), opiera się opłacalność wydawnictw włoskich przede wszystkim na wysokości nakładów, które są istotnie poważne, a na stosunki polskie — olbrzymie. Wychodzący w Mediolanie „Corriere della Sera“ — największy dziennik włoski, drukuje się w nakładzie pół miliona egzemplarzy. Wszystkie inne biją znacznie mniej, choć cały szereg wydawnictw z półoficjalnym rzymskim „Giornale d'Italia“ dochodzi do stu tysięcy lub nawet je przekracza. Rzecz osobliwa, że założony przez Mussoliniego i kierowany obecnie przez jego bratanka Vito, mediolański „Popolo d'Italia“ ma nakład stosunkowo nieznaczny i opierający się prawie wyłącznie na prenumeratach urzędów i organizacji. Dopiero gdy zasygnalizowane zostaje ukazanie się na jego łamach artykułu samego Duce (ostatnimi czasy zdarza się to znów dość często) — sprzedaż kolportażowa, a za nią i nakład rosną wielokrotnie.

Osobną pozycję stanowi stosunek faszystowskich Włoch do prasy zagranicznej. W ostatnich czasach Włochy co raz bardziej wysuwają się na europejskiej szachownicy. Rzym staje się doniosłym ośrodkiem wielkiej polityki. W związku z tym wzrasta też zainteresowanie świata sprawami włoskimi, a co za tym idzie — zwiększa się zastęp dziennikarzy zagranicznych w Rzymie. Ilość członków tutejszego związku prasy zagranicznej — „Associazione Stampa Estera“ przekroczyła już liczbę 300, mimo, że ścisły balotaż powoduje, że zapisać się może tylko stu procentowy zawodowiec. Stanowi to cyfrę przewyższającą ilość korespondentów zagranicznych w Paryżu i Berlinie..

Reżim faszystowski niezmiernie jest czuły na opinię zagraniczną wobec swych poczynań politycznych i stosunków wewnętrznych we Włoszech. Wynika stąd daleko idąca dbałość o pozyskanie sobie akredytowanych w Rzymie przedstawicieli prasy światowej i utrzymywanie z nimi bliskiego kontaktu informacyjnego. Urządza się więc codzienne konferencje prasowe w ministerstwie kultury ludowej, organizuje luksusowe wycieczki po Włoszech i koloniach, a dostęp do najwyższej postawionych osobistości nie wyłączając samego szefa rządu jest bardzo ułatwiony. Miara starań rządu włoskiego o ułatwienie dziennikarzom zagranicznym spełniania ich pracy zawodowej jest urządzenie i bezpłatne oddanie do dyspozycji związkowi wspaniałej siedziby — Domu Prasy Zagranicznej w Rzymie.

Wielki marmurowy hall z przylegającym doń nowoczesnym ogródkiem, znakomicie wyposażone czytelnie i biblioteka, wygodne sale pracy, bar, kabiny telefoniczne z bezpośrednimi liniami dalekiej komunikacji, na wyższych piętrach zaś pomieszczenia biurowe wielkich agencji — stanowią w sumie pałac prasowy, nie wiele mający równych sobie w Europie..

JAN KAWCZYŃSKI.

mieścia Praga, który ostatnio zamekrykanizował swój system pracy. Oto kilka komisji sądowych objeżdża ulice i przedmieścia Pragi.. samochodami. Wyroki zapadają od razu na miejscu przestępstwa. Automobilista, motocyklista, kolarz, czy woźnica, który popadł w konflikt z przepisami o ruchu drogowym, zostaje zatrzymany i wysłuchuje wyroku obradującego w samochodzie sądu starościńskiego i na jego ręce płaci grzywny.

Amerykański pomysł udał się pod każdym względem, a pod względem finansowym wprost wspaniale, pierwszy bowiem dzień przyniósł już 388 zł. Sumka spora, świadcząca wymownie, jak palącą sprawą była konieczność wytoczenia walki anarchii drogowej.

Oby szybko nadszedł dzień, w którym zarówno policja drogowa, jak i praski sąd starościński wrócą z... pu. sta kasą. Wtedy dopiero będzie powód do radości!

\*

A może by tak inne miasta poszły wzorem Warszawy i energicznie rozprawiły się z nieporządkami na szosach? Można przecież wciągnąć do tej wdzięcznej pracy poszczególne Automobilkłuby dając im odpowiednie uprawnienia

# Carlo Goldoni na weneckim placu

List z Wenecji — przez dra Luigi Cini

Młody uczonek dr Luigi Cini, który w krakowskich zakładach naukowych wykładając język i literaturę włoską, spędza wakacje w Wenecji, swym mieście rodzinnym. Odbywają się tam obecnie głośne w całej Europie przedstawienia teatralne pod gołym niebem. Dr Cini, który włada wybornie językiem polskim, nadesłał nam opis swym wrażeń — zamieszczamy go poniżej.



Teatralne przedstawienia, odbywające się pod gołym niebem, a wypełniające program Weneckiego La-ta (Estate veneziana), składają się tego roku z trzech sztuk. Są to dwie komedie Carlo Goldoniego: „Le Baruffe Chio-giotte” („Kłótnie z Chioggi”) i „Il Bugiardo” („Kłamca”) — oraz Szekspira: „Romeo e Giulietta”.

W czasie słynnego święta „Redentore”, tego najbardziej typowego weneckiego święta, uczestniczyłem w przedstawieniu „Kłamcy” na campo (małym placu) San Trovaso.

Campo San Trovaso, położone tuż obok słynnego, malowniczego, przez wszystkich zwiedzających Wenecję artystów ulubionego „squero”, jest jednym z najbardziej typowych miejsc tego cudownego miasta: z jednej strony zamyka je marmurowa fasada kościoła San Trovaso, z drugiej spokojne „rio” (kanał) z eleganckim „ponte” (mostkiem), który wychodzi na ciemną „calletta” (uliczkę), z altaną, ocienioną liśćmi winogrodu.

Goldoni jest symbolem tej Wenecji: nie tamtej wielkiej, potężnej Wenecji, Królowej Mózg, lecz towarzyskiej, wesołej rozgadanej. Językiem Goldoni’ego jest często dialekt wenecki, najbardziej chyba malowniczy i miły z całych Włoch: sływa on z ust jak kaskada błyszczących pereł.

Goldoni to życie Wenecji: życie na „campach”, „callach” i „pontach”. Komedie Goldoni’ego jest zawsze pełna czaru w swojej akcji, bogatej w malownicze, a żywe niespodzianki. Można powiedzieć, iż oddaje ona duszę miasta w jej tajemniczej konfiguracji — miasta, której jest niejako bohaterem tego teatru. Tak więc Wenecja jest dla komedii Goldoniego sceną jakby przyrodzoną.

Reżyser „Kłamcy”, Renato Simoni, niewiele też mało zmienił rzeczywistość „dekorację”. Campo San Trovaso zostało takim, jak jest na codzień. Zostały domy, kąpiące się w kanale, została uliczka, został mostek, a po drugiej stronie część placu oraz „fondamenta”, tj. ulica, która wychodzi na kanał. Ręka artysty dodała tylko dwie przybudówki: na samym pierwszym planie od lewej strony niedużą wieżę (dom lekarza Balanzoniego i jego dwu pięknych córek), oraz od prawej na drugim planie — gospodę: „Locanda all’Aquila”. To wszystko, a dodatki są minimalne i wybornie harmonizują z rzeczywistością. Bo widowiska te odbywają się pod gołym niebem nie tylko dlatego, aby rozkoszować się świeżym powietrzem, lecz by wydobyć z zewnętrznego, rzeczywistego świata nowy pierwiastek poezji.

Dodajmy w nawiasie, że to ściśle

stosowanie się do istniejącej natury, jest przeciwne metodzie innych reżyserów, którzy tworzą dekoracje zupełnie niezależne od oryginalnego tła — jak np. miało miejsce kilka tygodni temu w widowisku pt. „Mikołaj Kopernik” na dziedzińcu wawelskim w Krakowie, z pięknymi dekoracjami p Frycza. Stąd nasuwa się porównanie, że podobny efekt do przedstawień Goldoni’ego w Wenecji dałyby niektóre sztuki Wyspiańskiego, wystawione np przed katedrą Wawelską.

Ma się rozumieć, że dekoracje nie są zmieniane podczas różnych aktów. — co zresztą odpowiada teatrowi Goldoni’ego, w którym jedność miejsca jest owocem doskonałej jedności akcji.



Ostatnia scena: „Kłamca” ucieka. W grupie widać Pantalona, Arlekina, Brigellę i Rosaurę — postaci weneckiej Commedia dell’Arte, przez Goldoni’ego tutaj na scenę wprowadzone.

Oświetlenie ma na celu jak najbardziej uwypuklić wszystkie części sceny, zawsze pełne ruchu, gadania, krzyku i śmiechu. Efekty były ogromnie malownicze: przez „rio” już w pierwszych scenach przejechała oświetlona lampionami weneckimi (palloncini alla veneziana) łódka „muzyczna” (la galleggiante), z której rozbrzmiewały skrzypce i mandoliny; później krzyżując się na wodzie autentyczne gondole, a gondolierzy — według uświęconej tradycji — krzyżowali, gwizdali, wymyślali sobie... I tak to dostaliśmy w skrócie, jakby w ekstrakcie całą romantyczną „weneckość” osiemnastego wieku: wiosła, uderzające w wodę, która pluszcze o podnóża domów, gondole, przesuwane się w tle po „rio”, okna w kwiatkach, eleganccy kawalerowie i zamaskowane damy, a nad wszystkim księżyc i gwiazdy letniej nocy...

Podczas przerw publiczność spacerowała sobie po „scenie”, bo nie było żadnej zasłony. Ciekawo zaglądali do

wnętrza „Locanda all’Aquila” i gawędzili wesoło z Pantalonom lub z Arlekinem, którzy wypoczywali, aby nabrać sił do następnego aktu. Panie szczególnie podziwiała piękne jedwabne stroje wieku XVIII, odtworzone artystycznie przez p. Titinę Rotę.

Ale druga część tego teatru, tj. widownia, nie mniej jest ciekawą. Aby być lepiej zrozumianym, powołam się jeszcze raz na widowiska wawelskie, których byłem świadkiem.

W Krakowie publiczność siedziała na fotelach albo na ławkach ustawionych jedna za drugą na tej samej płaszczyźnie — podobnie jak to ma miejsce w szkole. W Wenecji jest inaczej. Szeregi foteli stopniowo się podwyższają: ostatni rząd jest na poziomie frontonu kościoła S. Trovaso, tj. znajduje się na wysokości 15 metrów. Przypomina to klasyczne teatry greckie i rzymskie: jedyna różnica polega na tym, że krzesła ustawione były



Ottavio w drzwiach „Gospody pod Orlem”

widownia była oświetlona jasno jak w dzień (a giorno).

Skończywszy w ten sposób z technika przedstawień, wspomnijmy chociaż paru słowy o ich artystycznym ujęciu. Reżyseria, która w „Il Bugiardo” sprawował Renato Simoni, nie zmierzała do efektów halaśliwych i oszłamniających. Za cel artystyczny wzięła sobie podkreślić miły i wesoły ton, jaki mają komedie Goldoniego, a zarazem oddać ducha epoki i czar miasta, w ogóle wykorzystać malowniczość i teatralność Wenecji, tak jak już zauważyliśmy wyżej. To też serenada, śpiewy, menuet, sceny między Rosaurą, Beatrice i Ottavio zostały stonowane i temu celowi podporządkowane, aby nie wybijały się natrętnie na pierwszy plan. Nigdy nie pozwolono takim efektom na to, aby stały się celem same dla siebie, tak jak to bywa nieraz w głupich amerykańskich filmach, mających za tło Wenecję.

W ten sam sposób postąpił reżyser z poszczególnymi rolami, tonując je i sprowadzając do jednego poziomu. Nie szło mu o poszczególne figury komedii. Wszystkie one, artystycznie ze sobą związane, miały przede wszystkim uwypuklić głównego, najważniejszego aktora, jakim jest uniesmiertelniona przez Goldoni’ego Wenecja XVIII stulecia. Ujrzelśmy przeciętnych ludzi, małe cnoty i małe wady, radosne uśmiechy i miłosne zmartwienia — wszystko objęte tęczą różnorodnych strojów, eleganckich szpad i perfumowanych chusteczek, szmerzących pluskami wody w „rio” i delikatnymi dźwiękami muzyki... Kto znalazł się pod czarem tego widowiska, nierychło o nim zapomni.

*Luigi Cini*

Wenecja.

## Napływ turystów do Polski

W latach ostatnich obserwujemy wzmagający się stale napływ turystów zagranicznych do Polski. Świadczyć o tym najlepiej mogą cyfry statystyczne, obejmujące ilość wycieczek zagranicznych, przybywających do naszego kraju, a sprowadzanych przez cztery największe biura podróży.

Ogólna cyfra uczestników wycieczek zagranicznych, uwzględniająca w nieznacznej tylko mierze stosunkowo niewielką liczbę turystów podróżujących samodzielnie, wynosiła w 1935 r. 17 434 osoby, w 1936 r. zaś podniosła się o zgórz 50% — do 26 106 osób. Jeżeli chodzi o poszczególne kraje, z których przybywały wycieczki do Polski, to należy na pierwszym miejscu wymienić Austrię, skąd w 1935 r. przybyło do Polski 6 615 osób, a w r. ub. aż 11 973 osoby. Na drugim miejscu postawić należy Niemcy, skąd w 1936 roku przybyły do Polski 11 142 osoby. Poza tymi dwoma krajami, dostarczającymi największe „kontingenty” wycieczek do Polski, na dalszych miejscach znajdują się Francja — 429 osób, U. S. A. — 386 osób, Anglia — 383 osoby itd. Są to oczywiście cyfry bardzo jeszcze skromne, jednakże z każdym rokiem notujemy na tym polu poprawę.

Otóż w okresie bieżącego sezonu letniego, to znaczy od maja do lipca jedno tylko to biuro podróży obsługiwało 40 wycieczek z zagranicy, złożonych z 7 008 uczestników. Cyfry te nie obejmują przy tym masowego ruchu turystycznego, przyspianego, przyjazdów indywidualnych z zagranicy oraz znacznej liczby wychodźców polskich, przyjeżdżających na pewien czas do kraju z Francji, Niemiec czy Belgii.

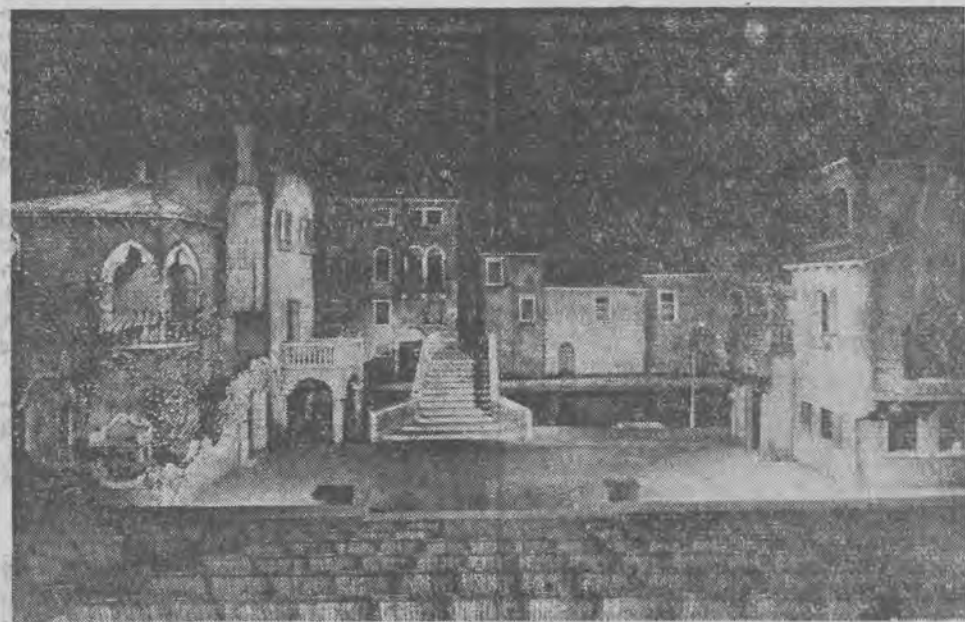
Wycieczki zagraniczne przybywały ze St. Zj., Austrii, Belgii, Czechosłowacji, Estonii, Danii, Finlandii, Litwy, Francji, Łotwy, Niemiec, Węgier, a nawet z egzotycznych, a dziś znajdujących się w przededniu wojny — Chin.

Najliczniejsze były wycieczki na kongres ku czci Chrystusa Króla (350 osób), następnie wycieczki naszych rodaków z Ameryki (Związku Narodowego Polskiego — 127 osób, wszystkich razem Polaków z Ameryki było zaś ok. 300). Przybyła w tym czasie wycieczka 101 członków chóru estońskiego, wycieczka czeska, złożona ze 110 osób, 20 dziennikarzy amerykańskich itd. Ogółem z samych tylko St. Zj. przybyło 8 dużych wycieczek, a z tak trudnej do pozyskania dla naszej turystyki Anglii — 5 wycieczek. Z innych wycieczek wymienić należy grupę księży polskich z Ameryki, studiujących w Rzymie, wycieczkę księży fińskich, kolejarzy fińskich, dziennikarzy z państw bałtyckich, studentów amerykańskich i kombatantów francuskich.

A przecież jeszcze nie koniec sezonu.

## Zatarg prasowy angielsko - niemiecki

Berlin. (PAT) Korespondent „Timesa” Norman Ebbutt wyjechał z Berlina Nord-expressem o godz. 21 m. 35, zegnamy na dworcu przez blisko 100 osób, w tym 80 członków Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej w Berlinie.



Jak wygląda scena, którą stanowi plac San Trovaso: dobudowany tylko domek-wieżyczka z altaną na lewo, oraz oberża „Pod Orlem”, na drugim planie z prawej. Reszta — natura.

Kapral rezerwy Piwowar, będący w życiu cywilnym presem klubu abstynentów w pow. Kaliskim, co by-  
ło przedmiotem ustawicznych dowcipów, krzykniął:  
— Nieprzyjacielski podjazd nawprost 800 m!  
Ppor. Wicherek zaniepokoił się nie na żarty: żeby  
to był nieprzyjaciel, to jeszcze, gorzej jeśli diabli na-  
dali inspekcję. Długo, wytrwale patrzył przez lornet-  
kę teatralną, którą mu żona w ostatniej chwili kazała  
zabrać na ćwiczenia. Powoli, stopniowo uświadamiał  
sobie całą grozę sytuacji. Przemówił do oddziału krót-  
ko, wzięwato, po wojskowemu. Tyko rzeczy najpo-  
trzebniejsze.  
— Wykonac  
Czterech kaprali zrobiło wtył zwrot, druga druży-  
na oddzieliła się od plutonu i ruszyła naprzód. To był  
patrol, posunął się ostronie skrajem lasu. Kiedy już  
uszedł 100 metrów, wysunął przed siebie machi — dwa  
różki — to dwa szperacze z nasadzonymi bagnietami  
wyglądali fikcyjnego wroga. Wyprzedzali patrol o 50  
metrów. Ppor. Wicherek zatarł mokre ręce. Sam sobie  
musiał przyznać, że klasycznie prowadził to natarcie —  
gdymy nie to, że bał się zamaczania regulaminu, to był-  
by go otworzył, tylko po to, żeby się przekonać, że jest  
naprawdę pierwszorzędnym materiałem na oficera do-  
jowego. Ale i bez regulaminu wiedział, że tak jest.  
Na lewo, o 200 kroków, już w szczyrim polu, pra-  
patrol plutonu ppor. Bambusa, syna drogeżyisty ze  
Zduńskiej Woli. — „Jak te biedaki mokną” — pomy-  
ślał ppor. Wicherek.  
Od jeziora szedł dalej grzmot. Prawie równocześ-  
nie rozległ się sygnał „koniec ćwiczeń”.  
A jednak owa tajemnicza grupa jeźdźców, to by-  
ła inspekcja. Wicherek poznał to po twarzach wodzów,  
kolejno, lecz byli jacyś matomowami i skupieni w sobie.

Dowódca baonu wyglądał jakby miał ischias. Przybył  
dowódca pułku z miną poprostu żalobną. Czemu on  
ma taką żalobną minę. Czemu nie przystępuje do omó-  
wienia? Na co oni czekają? Przecież deszcz leje jak  
z cebra. Przemoczył mundury, powoli wsłakił w kale-  
sony i skarpety.  
Przyszedł dowódca piechoty dywizyjnej. Wogóle  
nie zwracał uwagi na swego małego, czarnego pieska,  
pędzącego się między nogami rezerwy. Wiąc ten też  
nie omawia?  
— Zda się, że stary przyjechał — szepnął Bam-  
bus do Wicherka. „Starym” nazywali dowódcę dy-  
wizji. Zbledli obaj. Bardzo bał się starego. Podobno  
był straszliwie nieobliczalny.  
Racja, szedł dowódca dywizji. Ale omówienie mi-  
mo to się nie zaczynało. Wicherek teraz już nie nie  
rozumiał. Zaczynały go ogarniać najgorsze przeczu-  
cia. On w każdym razie był w porządku. Nie miał so-  
bie nic do zarzucenia. Spojrzył na grupę wodzów.  
W oczach ich wszystkich też malował się niepokój.  
Nagle sprężył się na baczność — z pagórka w otoczeniu  
świ schodził general.  
Zez mógł dowódcy dywizji przelieciała ostatnia  
gra wojenna: do dziś nie mógł zapomnieć generałowi  
zjadłowej uwagi: „Plan pana pułkownika powinien być  
wywieszony w szkołach wojskowych, żeby podchorzą-  
żaków uczyć, jak się nie robi”. Trochę go podczu-  
żowało.  
Ze jeden z attaché wojskowych, obecny na tych mane-  
wrach, powiedział w obecności generała: „Manewr puł-  
kownika przypominał zupełnie manewr Napoleona  
pod Ulin”. To wspomnienie utrwało w pułkownika  
przekonanie o własnej wartości. Myśl o własnej war-  
tości przebiegała po całej grupie oficerów zawodowych,  
i oddziaływał dalekim reflekssem w duszy ppor. rez. Wi-  
cherka, a właściwie w duszy nauczyciela ludowego  
Wicherka. Przelięgał myślą historię dnia.

— Kapral Piwowar, panie generale.  
— Przywołać tu kaprala Piwowara.  
Tego jeszcze nie było. Przywołać kaprala? Czego  
on może chcieć od kaprala? Jakies nowe zwyczaję! Po  
oficerach przeszedł dreszcz niepokoju. Przeskoczył na  
rezerwę, ale przy tym przemienił się w zamróż grozy.  
Kapral Piwowar stał z całym wojskiem od 300 do  
400 metrów od miejsca omówienia. Wojsko stało tak  
daleko dla tego, żeby nie słyszeć, jak wyżsi oficerowie  
besztają niższych oficerów, to by podrywało autorytet.  
Więc kiedy do Piwowara przyleciał jeden z podchorą-  
żych rezerwy (z zawodu radca ministerialny) krzyżąc,  
że ma natychmiast przyjść do generała, Piwowar nie  
chciał z początku wierzyć.  
Szedł dużymi krokami i zachodził w głowę: co im  
się stało? co do siebie był spokojny: był w porządku —  
drużyna jego była najlepszą drużyną plutonu. Ostatni  
apel z butami wypadł świetnie — w całej drużynie  
brakło zaledwie czternaście gwoździ (z tego jedna-  
ście naturalnie ta ofermą... ten asystent filozofii  
z Krakowa!) Ponadto: kapral Piwowar w czasie dzi-  
siejszych ćwiczeń najlepiej przeszedł przez las podług  
busoli Bezarda.  
Zameldował się według wszelkich reguł.  
General spytał laskawie: — Kapral Pisarek?  
Kapral Piwowar był drażliwy na punkcie przekre-  
śniania jego nazwiska. Dostyc na ten temat robili dowci-  
pów. Z trudem opanował się.  
— Melduję, kapral P i w o w a r, panie generale.  
— Jakie rozkazy dostał kapral od dowódcy plu-  
tonu?  
— Rozkazy?  
— No tak, dostaliście przecie rozkaz do natarcia?  
Kapral Piwowar stracił głowę. Wobec tyłu władz,  
szarż, i godności, wobec kilkudziesięciu par ocz śledzą-  
cych każde drgnienie jego twarzy, nie mógł

KAZIMIERZ PLUCIŃSKI

## INSPEKCJA

Deszcz jakby trochę osłabł. Swoją drogą lepiej, że  
schowali się do zagajnika, po co chłopaki mają mo-  
knąć.  
Ppor. Wicherek stał oparty o moką sosnę i zasta-  
nawiał się, że w gruncie rzeczy takie ćwiczenia są nie-  
złym wynalazkiem. Bo proszę sobie wyobrazić: pensję  
nauczyciela ludowego otrzymał swoją drogą, a za każ-  
dy dzień ćwiczeń 7, —zł swoją drogą. Nosił mundur  
zupełnie taki sam jak prawdziwi oficerowie służby  
czynnej — i czuł się też prawie oficerem służby czyn-  
nej. Medal 10-ci ołecia błyszczał na jego piersiach jak  
Krzyż Walecznych na piersiach majora. Nawet im nie  
brał za złe tego trochę protekcyjnego tonu: ostafecz-  
nie czyż on nie odnosiłby się protekcyjnie do ofice-  
rów, gdyby ich przydzielono w charakterze nauczy-  
cieli zapasowych do jego szkoły powszechnej w Psiej  
Woli? Pewnie żeby się odnosił.  
Ha, trudno sobie w ogóle wyobrazić, jakby to było.  
Żeby tak majora dostał na przeszkolenie. Wyobrażał  
sobie: major ma lekcję geografii z dziećmi. Naraz do  
klasy wkracza on, Wincenty Wicherek, kierownik  
szkoły. Przeprowadza inspekcję. Dzieci zrywają się

Deszcz znowu padał mocno. Nie, w tych warunkach nie sposób było wykonywać natarcia. Ppor. Wicherek kazał plutonowi ponownie schronić się do lasu. Dostał znowu sygnał „koniec ćwiczeń” jakos nie przychodził. A może zresztą nie doszyszeł. W takim deszczu, to się łatwo może zdarzyć. Nagle daleko na horyzoncie, ukazała się na ścieżce grupa jeźdźców.

Deszcz znowu padał mocno. Nie, w tych warunkach nie sposób było wykonywać natarcia. Ppor. Wicherek kazał plutonowi ponownie schronić się do lasu. Dostał znowu sygnał „koniec ćwiczeń” jakos nie przychodził. A może zresztą nie doszyszeł. W takim deszczu, to się łatwo może zdarzyć. Nagle daleko na horyzoncie, ukazała się na ścieżce grupa jeźdźców.

Deszcz znowu padał mocno. Nie, w tych warunkach nie sposób było wykonywać natarcia. Ppor. Wicherek kazał plutonowi ponownie schronić się do lasu. Dostał znowu sygnał „koniec ćwiczeń” jakos nie przychodził. A może zresztą nie doszyszeł. W takim deszczu, to się łatwo może zdarzyć. Nagle daleko na horyzoncie, ukazała się na ścieżce grupa jeźdźców.

Deszcz znowu padał mocno. Nie, w tych warunkach nie sposób było wykonywać natarcia. Ppor. Wicherek kazał plutonowi ponownie schronić się do lasu. Dostał znowu sygnał „koniec ćwiczeń” jakos nie przychodził. A może zresztą nie doszyszeł. W takim deszczu, to się łatwo może zdarzyć. Nagle daleko na horyzoncie, ukazała się na ścieżce grupa jeźdźców.

Deszcz znowu padał mocno. Nie, w tych warunkach nie sposób było wykonywać natarcia. Ppor. Wicherek kazał plutonowi ponownie schronić się do lasu. Dostał znowu sygnał „koniec ćwiczeń” jakos nie przychodził. A może zresztą nie doszyszeł. W takim deszczu, to się łatwo może zdarzyć. Nagle daleko na horyzoncie, ukazała się na ścieżce grupa jeźdźców.

Deszcz znowu padał mocno. Nie, w tych warunkach nie sposób było wykonywać natarcia. Ppor. Wicherek kazał plutonowi ponownie schronić się do lasu. Dostał znowu sygnał „koniec ćwiczeń” jakos nie przychodził. A może zresztą nie doszyszeł. W takim deszczu, to się łatwo może zdarzyć. Nagle daleko na horyzoncie, ukazała się na ścieżce grupa jeźdźców.

Deszcz znowu padał mocno. Nie, w tych warunkach nie sposób było wykonywać natarcia. Ppor. Wicherek kazał plutonowi ponownie schronić się do lasu. Dostał znowu sygnał „koniec ćwiczeń” jakos nie przychodził. A może zresztą nie doszyszeł. W takim deszczu, to się łatwo może zdarzyć. Nagle daleko na horyzoncie, ukazała się na ścieżce grupa jeźdźców.

Deszcz znowu padał mocno. Nie, w tych warunkach nie sposób było wykonywać natarcia. Ppor. Wicherek kazał plutonowi ponownie schronić się do lasu. Dostał znowu sygnał „koniec ćwiczeń” jakos nie przychodził. A może zresztą nie doszyszeł. W takim deszczu, to się łatwo może zdarzyć. Nagle daleko na horyzoncie, ukazała się na ścieżce grupa jeźdźców.

Deszcz znowu padał mocno. Nie, w tych warunkach nie sposób było wykonywać natarcia. Ppor. Wicherek kazał plutonowi ponownie schronić się do lasu. Dostał znowu sygnał „koniec ćwiczeń” jakos nie przychodził. A może zresztą nie doszyszeł. W takim deszczu, to się łatwo może zdarzyć. Nagle daleko na horyzoncie, ukazała się na ścieżce grupa jeźdźców.

== 19 ==

jak oparzone. Major kłania się uprzejmie i z szacunkiem. On, Wicherek, kiwa mu lekko głową, i mówi głosem, w którym brzmi nuta protekcyjnej życzliwości: Proszę, proszę, niech pan sobie nie przeszkadza, panie majorze, niech pan prowadzi lekcję, jakby mnie tu w ogóle nie było. Więc major, zarumieniony z emocji każe jednemu z dzieci, pucułowatemu blondasowi, wymienić lewe dopływy Wisły. Pucułowaty blondas wymienia Wartę, major nie poprawia tego błędu. Poczem on, kierownik szkoły, bierze majora na bok, i poważnym, a pełnym troski, o przyszłość narodu tonem mówi tak: „Warta nie jest lewym dopływem Wisły. To, panie majorze, trzeba było poprawić. Tak, poprawić”. Tu major otwiera usta, żeby się tłumaczyć, ale on go wogóle nie dopuszcza do głosu. Powiada: „Pan tu jest dopiero tydzień, panie majorze, pan jeszcze nie nasiąknął trybem naszego urzędowania. Niech pan się stara. Tak, musi się pan starać. Rozumie pan, panie majorze?” Major świetnie rozumie, gdyż jest to człowiek inteligentny — stoi zażenowany i nie odpowiada nic.

Tak, niestety nie zanoszą się na to, żeby majora dali na przeszkolenie do jego szkoły. Chwilowo rzecz ma się wręcz przeciwnie: to on jest na przeszkoleniu w batalionie majora. To major głosem pełnym protekcyjnej życzliwości mówi do niego: „Co pan robi w cywilu, panie poruczniku? Pan chce ogniem pośrednim z lekkich karabinów maszynowych strzelać ponad głowami własnego oddziału. Panie, wystrzela pan własnych żołnierzy, jak kaczki. Śmiech człowieka ogarnia, choć z drugiej strony to jest smutne.” Ppor. rezerwy Wicherek zgadza się tylko z drugim twierdzeniem. Podziela opinię majora, że to jest smutne. Natomiast śmiech absolutnie go nie ogarnia.

Ppor. rez. Wicherek byłby długo jeszcze snuł swoje fantazje, oparte o cymbał młotek, gdyby nie

== 18 ==

W głosił generała brzmiało coś, co odlegle przypominało łaskawość. Porucznik Wicherek czuł się w domu. — Na razie wystarczy, panie poruczniku.

General podniósł rękę: — Na razie wystarczy, panie poruczniku.

General podniósł rękę: — Na razie wystarczy, panie poruczniku.

General podniósł rękę: — Na razie wystarczy, panie poruczniku.

General podniósł rękę: — Na razie wystarczy, panie poruczniku.

General podniósł rękę: — Na razie wystarczy, panie poruczniku.

General podniósł rękę: — Na razie wystarczy, panie poruczniku.

General podniósł rękę: — Na razie wystarczy, panie poruczniku.

General podniósł rękę: — Na razie wystarczy, panie poruczniku.

== 22 ==

„Dziś rano po raz pierwszy wydałem komendy bez najmniejszego błędu, dwóm symulantom udowodniłem, że są symulantami. Zameldowałem dowódcy kompanii o konieczności uzupełnienia stanu ochraniaaczy w plutonie. Pluton mój w ćwiczeniach odznaczał się dużą dyscypliną i nie rozlaźli się po chałupach, tak jak np. pluton Bambusa.”

Właśnie dochodził tą drogą do ostatecznego utrwalenia w sobie przekonania o własnej wartości, gdy panna jego nazwisko.

Właśnie dochodził tą drogą do ostatecznego utrwalenia w sobie przekonania o własnej wartości, gdy panna jego nazwisko.

Właśnie dochodził tą drogą do ostatecznego utrwalenia w sobie przekonania o własnej wartości, gdy panna jego nazwisko.

Właśnie dochodził tą drogą do ostatecznego utrwalenia w sobie przekonania o własnej wartości, gdy panna jego nazwisko.

Właśnie dochodził tą drogą do ostatecznego utrwalenia w sobie przekonania o własnej wartości, gdy panna jego nazwisko.

Właśnie dochodził tą drogą do ostatecznego utrwalenia w sobie przekonania o własnej wartości, gdy panna jego nazwisko.

Właśnie dochodził tą drogą do ostatecznego utrwalenia w sobie przekonania o własnej wartości, gdy panna jego nazwisko.

Właśnie dochodził tą drogą do ostatecznego utrwalenia w sobie przekonania o własnej wartości, gdy panna jego nazwisko.

Właśnie dochodził tą drogą do ostatecznego utrwalenia w sobie przekonania o własnej wartości, gdy panna jego nazwisko.

Właśnie dochodził tą drogą do ostatecznego utrwalenia w sobie przekonania o własnej wartości, gdy panna jego nazwisko.

Właśnie dochodził tą drogą do ostatecznego utrwalenia w sobie przekonania o własnej wartości, gdy panna jego nazwisko.

== 23 ==



# Kwieciny

## „Scypion Afrykański“

Największy film świata powstał we Włoszech

Dwadzieścia milionów lirów pochłonęło nakręcenie największego filmu świata, którym jest „Scypion Afrykański“. Na ekranie zobaczymy bohaterów uporczywych zmagających się dwóch potęg starożytności, z których Kartagina uległa ostatecznie Rzymowi.

Scypion, Hannibal, Fabius Cunctator, Laelius, Sofonisba... ukazują się przed nami tacy, jak widzieli ich Tytus Liwiusz, Plutarch i Kornelius Nepos. Bohaterowie starożytności ukazują się przed nami jako postaci żywe, postaci z krwi i kości, ludzie z wszelkimi ich namiętnościami... Każda scena „Scypiona Afrykańskiego“ pulsuje życiem i jest pełna dynamiki.

Weźmy dla przykładu scenę bitwy pod Zamą, która, jeśli idzie o rozmach realizacji, na pewno przejdzie do historii kinematografii. W filmie „Scypion Afrykański“ scena ta nie będzie tylko rekonstrukcją w sensie wi-



Scypiona, wroga Hannibala, gra znakomity gwiazdor włoski... Hannibal Ninchi.

zulanym, ale ukáže również taktyczne i strategiczne rozwiązanie bitwy przez wojska rzymskie i kartagińskie.

Przygotowania do realizacji tej jednej sceny trwały z górą 3 miesiące. Olbrzymie tłumy statystów — czarnych i białych, 4 oddziały kawalerii i dwa pułki piechoty, przez długi czas odbywały ćwiczenia wstępne, zanim stanęły przed obiektywem aparatu filmowego.

„Scypion Afrykański“ przedstawia wielki pojedynek między dwoma tytanami — Hannibalem a Scypionem — przedstawicielami dwóch narodów, dwóch różnych umysłowości. Bój między Rzymem a Kartaginą jest jednocześnie bojem cywilizacji z barbarzyństwem, kultury z ciemnotą...

Z jednej strony staje do walki Rzym republikański, wierzący w swe szczytne posłannictwo, przekazane przez Romulusa, syna Marsa, z drugiej zaś — Kartagina, zdobywca, nie uznająca kompromisów, dążąca do zagarnięcia coraz większych połaci ziemi. Z jednej strony Rzym, naród młody, stojący u progu świetności, z drugiej Kartagina, potę-

ga plutokratyczna, trzęsąca posadami świata. Jest to walka między żołnierzem a kupcem, między idealistami a materialistami... Scypion i Hannibal, dwaj wodzowie, są właśnie przedstawicielami tych dwóch różnych cywi-



Malownicza scena zbiorowa: narada senatu kartagińskiego.

Fot. Standart Film

lizacji — dla wszystkich, dla bohaterów akcji politycznej i dla bohaterów akcji osobistej. Dla Massynisy i Laliusa oraz dla Velii i Sofonisby.

Jak długo filmowano „Scypiona Afrykańskiego“? Zdjęcia bitwy pod Zamą trwały trzy miesiące; dwa miesiące trwały zdjęcia w obozach Scypiona i Hannibala; dwa miesiące kręcone były sceny w obozie Syfaksa i w pałacu królewskim w Syrcie...

W scenach tych uczestniczyły tysiące. Te tysiące należało przyodzianić w kostiumy i stroje epoki. To kosztowało miliony.



Najpopularniejsza gwiazda włoska Iza Miranda gra rolę Velii, branki Hannibala.

A sama realizacja sceny bitwy pod Zamą? Pochłonęła bająskie sumy. Ale za to widz zobaczy wspaniałą szarżę słoń, ataki kawalerii, walki piechoty, walki na białą broń, zmagania jednostek i tysięcy. Zobaczy sceny, których przez długie lata nie zapomni



Najnowszy film Jeanette'y Donald to miła komedia pt. „Gdy bzy kwitną“. Reżyseruje Robert Leonard. Fot. Paramount

# Filmowe

## „Umysł ważniejszy od urody“

„Moim zdaniem — oświadczyła Marlena Dietrich w wywiadzie z dziennikarką paryską — umysł jest dla mężczyzny czymś o wiele ważniejszym, niż uroda dla kobiety. Fakt, że mężczyzna jest przystojny, nie działa na mnie wcale, jego inteligencja zajmuje

mi jest naprawdę zakochana w aktorze, na przykład w Herbercie Marshallu, który jest jej partnerem w filmie Lubicza, „Aniol“, Marlena roześmiała się. „Nie zdarzyło mi się nic podobnego od czasu, gdy miałam lat 16! Widzi pani, pod tym względem mam w sobie coś z mężczyzny, wiem, że to nie byłoby „rycerskie“.

Dziennikarka upierała się jednak przy swoim twierdzeniu, że taka mała komedia nigdy zaskodzić nie może — przeciwnie, istnieje możliwość, że partner Marleny stworzy kreację bardziej przekonującą, przekraczającą jego zwykłe możliwości.

„Myli się pani — oświadczyła Marlena — istotnych uczuć nie pokazujemy nigdy na ekranie. Gdy się jest naprawdę zakochanym, nie paraduje się z tym publicznie, a na pewno nie okazuje się tego przed obiektywem. I jakże tu reagować prawdziwie, gdy reżyser powiada: proszę o rozkochane spojrzenie, ale niech pani nie zdejmuje ręki z ramienia Marshalla, dopóki pani nie usłyszy odgłosu zatraskiwania drzwi. Jest jeszcze przy tym jeden czynnik, który nie pozwala mi nigdy zapomnieć, że scena miłosna jest tylko grą — to szminka. Gdy mężczyzna jest uszmiokowany, mam wciąż przed oczyma przypomnienie, że jego najplomienniejsze wyznania są częścią roli jego i mojej.“

Dziennikarka paryska przyznaje w swoim artykule, że odpowiedzi Marleny sprawiły jej wyraźny zawód, jest jednak zadowolona, gdyż rzadko komu udało się jak dotychczas uzyskać tak obszerny wywiad z małą gwiazdą.

mnie bardziej, niż regularność rysów lub budowy ciała.“

Gdy dziennikarka zapytała ją, czy w czasie nagrywania filmu zdarza jej się udawać,



Marlena Dietrich ukończyła w tych dniach film pt. „Aniol“ wytwórni „Paramount“ pod reżyserią Ernesta Lubicza. Partnerami jej są: Herbert Marshall i Melvyn Douglas.

Fot. Metro-Goldwyn-Mayer

## Nowinki filmowe

W tych tygodniach kończą niemal wszystkie wytwórnie filmowe programy na nowy sezon. Cicha rywalizacja między wszystkimi częściami świata dobiega końca. Stara europejska kultura zareprezentuje nam w przyszłym sezonie szereg młodych, lecz wybitnych talentów, którymi chce prześcignąć produkcję Hollywoodu.

Na czoło wybijają się: Zarah Leander — Szwedka, talentem równa podobno Marlenie Dietrich i obdarzona pięknym głosem, kreuje główne role w filmach „Paramatta“ i „La Habanera“.

Obok niej idzie Maria Cebotari, również wielki talent artystyczny i śpiewaczka („Niezłomni“) i („Gasparone“) z Johannesem Heestersem, najlepszym tenorem holenderskim.

W równym rzędzie z nimi stoi uroczą Hansi Knotek („Sherlock Holmes“, „Gdy kobiety milczą“, „Bezrobotny milioner“, „Kawalerski grzech“, „Dusze w mroku“).

Podczas nakręcania jednego z najlepszych numerów choreograficznych w filmie „New Faces 1937“ (Nowe twarze r. 1937), w studiach RKO, wyloniła się kwestia, która wprawiła zarówno reżysera jak operatora w wielkie zakłopotanie.

Nakręcano taniec ekscentryczny zespołu Lowe-Hite-Stanley i wszystko szło gładko aż do chwili, gdy reżyser Leigh Jason polecił operatorowi Roy Huntowi zrobić kilka zbliżeń. Okazało się, że polecenie reżysera jest nie wykonalne. Wzrost Hite'a wynosi 7 stóp i 7 cali, Stanley'a — 3 stopy i 3 cale, Lowe zaś jest wzrostu średniego.

„Nie mogę ich zmieścić w obiektywie“, wyjaśnił Hunt. „Gdy mam całego Stanley'a, brak mi głowy Hite'a, a gdy mam Hite'a — ucieka mi cały Stanley“.

Ostatecznie ustawiono trzy aparaty z każdego fotografujące jednego tancerza. W ten sposób Leigh Jason pozbył się kłopotu — kosztem tych, którzy będą montowali film.